Konto czekowe P. K. O. 408.160. **Cena numeru 25 gr.**
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.



Rok VI. Nowy Sącz, dnia 15 października 1931. Nr. 2.

Do życia! Do pracy!

My Młodzi, na arenę życia powoli wstępujący, mamy się zaprawić tutaj na ławie szkolnej do niego na wytrwałych i silnych w swych przekonaniach ludzi, którzyby energicznie i śmiało mogli pochwycić za barki przeciwności losu, które nam w życiu w oczy zaglądać będą. A to życie, które teraz przeżywamy jest tak specjalnie skrócone, niespokojne i nieustalone, że chcąc, abyśmy byli z niego zadowoleni, musimy ster losu ująć energicznie w swe dłonie.

Przedewszystkiem musimy wynaleźć dla siebie pole działania, pole pracy, bo życie bez tego jest nędznem i bezwartościowem.

Wielu w tem miejscu staje i nie wie co począć, gdzie się obrócić. Wszystko wydaje im się za wielkie, za ciężkie i boją się, czy będą mogli na tem czy innem stanowisku godnie i solidnie pracować.

Takie poczucie własnej niedoskonałości jest dla szlachetnej natury wielkim bodźcem do doskonalenia się. Rozumiejąc jednak znaczenie pracy, oddają swą wiedzę, swe siły dla innych.

Ale są i inni, dla których wszelka praca społeczna, stowarzyszenia, czy organizacje są głupstwem, nic nie wartem, niepotrzebnem. Oni bowiem nie wiedzą, że w dzisiejszym świecie stowarzyszeń, pojedynczy człowiek nic nie znaczy, nic dokonać nie zdoła. Ale tak jak oni sądzą o tych wszystkich sprawach gorąco nas obchodzących, tak i my, według tego musimy ich oceniać.

Naszem więc hasłem, naszą przewodnią ideą jest i będzie praca. Praca intenzywna i potężna w swych rezultatach. Ale ona nie może mieć za jedyną przyczynę swego bytu obowiązek, bo sprowadzi skutki tak liche i pozbawiona soków, jak owoc, który dojrzeje bez słonecznego ciepła. Z pracy swojej tyle tylko człowiek wyciągnąć może praw-

dziwie zdrowych i potężnych rezultatów, ile włoży w nią zamiłowania i ciepła.

W pracy naszej organizacyjnej musi być karność. Siła bowiem społeczeństwa, narodu, państwa zależy przedewszystkiem od wartości moralnej, a jednym z donioslych wykładników tej wartości jest karność.

Karność to głębokie zrozumienie idei organizacyjnej, to mądre ujęcie solidarności społecznej, to dowód nieprzeciętnego umysłu, silnej woli, wyrobionego charakteru.

Starajmy się więc ją zdobyć dla siebie, a wtedy uczynimy państwo nasze silnem i niezachwianem. *Wład.*



Załamanie się finansowe Anglji.

Po lipcowem załamaniu się finansowem wysoko uprzemysłowionych Niemiec, przyszło z końcem września do upadku finansowego najpotężniejszego na globie ziemskim i najwięcej handlowego państwa, t. j. Anglji.

Za wysoka stopa życiowa społeczeństwa angielskiego, a przez to mniejsza zdolność konkurencyjna przemysłu angielskiego, utrata rynków zbytu w kolonjach i w szeregu dotkniętych kryzysem gospodarczym państw europejskich, oto rzeczywiste powody załamania się finansowego Anglji.

Fakt ten poprzedził bunt floty wojennej angielskiej na Antlantyku, protestującej przeciw obniżaniu płac.

Oprócz ratowania swego prestiżu handlowego i przemysłowego, musi Anglja równocześnie szukać wyjścia z zawikłanej sytuacji politycznej, wytworzonej przez bierny opór Hindusów w Indjach — dlatego zaprosiła do Londynu przywódcę ruchu hinduskiego Mahatmę Gandhiego na konferencję t. zw. okrągłego stołu.

Święty ten „prorok Indji" nosi się jednak z zamiarem opuszczenia Londynu, zrażony różnicami zdań w łonie samej konferencji co do jego haseł ideowych.

Jak i o ile załamanie finansowe wpłynie na dalszy rozwój wypadków politycznych i gospodarczych świata, to okaże przyszłość.

Już dziś jednak stwierdzić należy, że Anglja wskutek spadku wartości swej waluty (z 44 zł. na 36) stała się zdolniejszą do konkurencyjnego wywozu swych towarów i zatrudniła już pół miljona swych bezrobotnych, a równocześnie utrudniła import towarów obcych.

Szybka ta reakcja wprowadziła pewne ożywienie w przemyśle angielskim, który skierował się teraz na drogę bojkotu towarów japońskich na rynku chińskim.

Polska posiada niezbyt rozwinięty ruch handlowy z Anglją i dotychczas poniosła nieznaczne tylko straty z powodu załamania się finansowego — jednak wywóz drzewa polskiego, bekonów i gotowych ubrań łódzkich zostanie bezsprzecznie utrudniony, a pozatem ograniczony zostanie eksport polskiego węgla na rynki skandynawskie z powodu silniejszej konkurencji węgla angielskiego.

Anglja na skutek załamania się wartości swej waluty, musiała ustawowo zakazać wydawania złota ze swego skarbca państwowego i ten fakt wpłynął na postępowanie wielu banków emisyjnych w różnych państwach (Gdańsk).

Na ratunek Anglji pospieszyła Ameryka i Francja gotowością udzielenia jej większej pożyczki — a czynią to tem bardziej w celu zażegnania niebezpieczeństwa grożącego im

samym, w wypadku dalszego załamania się Anglji.

Pozatem Ameryka i Francja porozumiewają się nad ratunkiem zagrożonych kryzysem gospodarczym państw europejskich i w tym celu wybiera się w najbliższym czasie szef rządu francuskiego Laval do Ameryki na narady z prezydentem Hooverem.

Prawdopodobnie przedmiotem konferencji będzie także i sprawa ograniczenia zbrojeń względnie stworzenia między państwami atmosfery zaufania oraz odciążenia krępujących państwa ustaw celno-handlowych.

Zachodzi również obawa, że przedmiotem narad może być sprawa Pomorza polskiego uważana przez Niemcy za źródło i zarzewie przyszłych konfliktów między Polską a Niemcami.

Polska w chwili załamania się Anglji posiadała na pokrycie swej waluty między innemi cztery miljony funtów szterlingów, poniosła zatem szkodę bardzo małą.

Polska również wskutek małego handlu międzynarodowego t. zn. małego wywozu, a obok tego wskutek walki gospodarczej z Niemcami, ciągle zrywających uklady o zawarcie traktatu handlowego, w kryzys niemiecki nie została wciągnięta.

Uwydatnił się to w niezamąconym kursie złotego polskiego. oraz w poszukiwaniu złotego, dewiz na złoty w Niemczech, Austrji Czechosłowacji i Holandji.

Jednem ze źródeł braku zaufania do Niemiec jest ich usposobienie odwetowe i dążenie do rewizji traktatów, skreślających dzisiejsze granice, zarówno wschodnie jak i zachodnie. Pod tym względem Polska została wciągnięta w ten brak zaufania, a fałszywa i oszczercza propaganda niemiecka czyni Polsce trudności dla otrzymania pożyczki.

Do tego braku zaufania przyczynia się również i Rosja sowiecka nietylko przez agitacje wywrotowe ale i przez stosowanie gospodarstwa państwowo-kolektywnego, tak dalekiego od forsy gospodarczej indywidualnej państw zachodnich.

Do źródeł kryzysu należy wydatnie nierównomierny rozkład kapitałów, a to nagromadzenie ich głównie w trzech centrach; paryskim, nowojorskim i londyńskim, przy równoczesnej powściągliwości pożyczkowej i kredytowej tych ośrodków.



Na obozie w Rytrze.

O godzinie 7 rano uroczyste otwarcie obozu przez p. majora Gronowskiego i defilada. Potem odmarsz na plac ćwiczeń.

Po nużących i męczących ćwiczeniach i wykładach wracamy do obozu z myślą o obiedzie, gdyż nie jedliśmy od 5 godzin. W obozie rozbieramy się do szwimek, tylko służbowi stają do raportu. Obok obozu jest górski strumyk, w którym kąpiemy się. W lodowato-zimnej wodzie, ustępuje zmęczenie i stajemy się rzeźwi.

Zbiórka. Idziemy po obiad.

Pada komenda: „Baczność!" Służbowy zdaje stan kompanji do obiadu. Przy kuchni stoi już szarża i patrzy na nasz nędzny obiad, na który ciężko pracowaliśmy pół dnia.

Obiad było to trochę ziemiaczków z mizerją i z kawałkiem mięsa, tak twardego, że mówiono, aby go rozerwać trzeba było go gwoździem przybić do stołu, a potem ciągnąć kleszczami na drugi koniec.

Na drugie danie była galop-zupka-grochowianka, gdzie groch za grochem gonił i nie mógł dogonić, bo więcej go nie było, a o skwarkach ani mowy nie było, jedynie wielkie oczka jakby to był tłuszcz. Wieść głosiła, że to miała być wazelina, lecz to bajką się wydaje być. Zresztą potem były obiady dobre, z małemi wyjątkami.

Popołudniu lekko-atletyka. Wieczorem rozkaz, kolacja, modlitwa i poszliśmy spać.

W trzeci dzień naszego pobytu w obozie, t. j. w niedzielę o godzinie 3 popołudniu stajemy do marszo-biegu na przestrzeni 10 km. Trasa ciągnie się z Rytra z pod „Esplanady" do Barcic i z powrotem do Rytra.

Do „Esplanady" przybywamy o 3-ciej. Tam już stoi tłum ludzi chcących widzieć imprezę.

Pada komenda: „2-ga kompanja podbalańska



St. K.

Wycieczka do Lubowli.

Jednym z promieni, rozjaśniających monotonję naszego życia. była wycieczka do Lubowli. Jeszcze w całej pełni płynęło życie szkolne, a już snuliśmy fantastyczne plany przez góry, doliny, lasy i rzeki i na co tylko zmęczony umysł mógł się zdobyć, by [nasycić] zaspokoić nasze pragnienie, widokiem uroczych Pienin i sławnego zamku lubowelskiego.

Dzięki dobrej woli serdecznych kolegów, a mianowicie: Wojtka, Olka, Władka, Józka, Janka i Staszka doszła ona do skutku dnia 28 czerwca. W dniu wycieczki panowało wśród nas ogromne ożywienie.

Po nabożeństwie, na którem mało myśleliśmy o świętych, biegaliśmy tam i z powrotem z miasta do miasta, by zaopatrzyć się w różne instrumenty i narzędzia turystyczne, jak buty, plecaki, laski, igły, nici i t. p. nie zapominając o różnych pożywkach i odżywkach.

Skromnie przygotowani, spotkaliśmy się na stacji, gotowi do odjazdu. Żegnając pozostałych z uśmiechem zadowolenia zajęliśmy się sobą — opowiadając wrażenia i przygody z mamusiami i tatusiami, to znowu o pozostałych „Jaśkach“ i poduszkach i t. p.

W niespełna pół godziny byliśmy w Rytrze, mając przed sobą perspektywę przyjemnej podróży, wspaniałych Pienin i zabytkowego zamku.

Wśród żywego opowiadania, śpiewu i śmiechu, przyszliśmy na Prehybę. Niektórzy z nas, zwłaszcza Wojtek, Olek i Władek oczarowani byli otaczającym widokiem i pięknemi

---

na start!“ Potem zaraz „marsz“. Kompanja nasza rusza z miejsca. Przez chwilę nierówne tempo, potem zdobywamy oddech i rytm i za chwilę kompanja kolebie się zgodnie w takt: „raz, dwa; raz, dwa.

Po pierwszem zdenerwowaniu równoważymy się. W tem pierwsza czwórka odrywa się od kompanji, co czynią i inne. Rozbijamy się na oddziałki.

Po pierwszym kilometrze pytam się w moim oddziałku:

— Kto zmęczony?

Dostaję odpowiedź, że chyba ja, bo się pytam. Jak tak, to podaję myśl zwiększenia tempa, co przyjęto.

Po pierwszym kilometrze wykwita na twarze rumieniec, po innych spływają obfite krople potu. Zaczyna się uciążliwa praca... Nogi poderwane zbyt nagle, zaczynają omdlewać — pierwsze zmęczenie — ten i ów zwalnia tempo, inny sięga po cukier — padają słowa zachęty — dalej! dalej!

Dochodzimy do Barcic, aby oddać kartki z nazwiskami i powracać.

Już piąty kilometr..... nogi, które ciężały jak kule ołowiane, zaczynają coraz łatwiej się poruszać i zmęczenie osuwa się do kolan, a potem do butów. Bo te buty były naszą jedyną męką. W ciągu marszu powychodziły gwoździe z zelówek i wbijały się do stóp, kalecząc niemiłosiernie, do tego ogryzały nam stopy i palce sztywne a krótkie buty.

Nogi wdrożone do monotonnej pracy prą naprzód. Tu i ówdzie widzi się słabszych, bladych i idących coraz to powolniej

Nikt nie przemawia do nikogo ani pół słówka. Zęby zaciśnięte, wzrok utkwiony w dal. Rozpoczyna się praca całego organizmu. Dzień ten był szczególnie gorący i parny. Wszyscy jesteśmy tak zlani potem, że niema nawet niteczki suchej. Wyglądamy jakby nas kto oblał wodą. Teraz dopiero zaczynają nam ciężyć koce, przewieszone przez

konturami Pienin. Nas trzech oczarowały tak ubiegłych wakacji Tatry. Krótko odpoczywając, zdążaliśmy ku Szczawnicy. Każdy z nas z wielką radością witał czarowne zdrojowisko, tem więcej, że zdążyliśmy przybyć przed godziną piątą, a głównie o to nam chodziło. Poszliśmy do zdroju. Dopiero po dziesiątej szklance cudownej Józefiny, Józek i Janek odświeżeni fizycznie, pokrzepieni duchowo, zaczęli zastanawiać się nad europejskiemi kuracjuszami i podziwiać ich piękne, długie do pasa twarze, a Wojtek i Olek napawali się widokiem pięknych figur, smukłych jak ogórki, robiąc sobie ślinkę, ale tylko na kiszone.

Po tak skromnej dawce tej wody leczniczej, przyszedł nam wilczy apetyt. Józek i Olek zjedli połowę zapasu, wyznaczonego na cztery dni, nadto wypili trzy litrowy garczek mleka i zjedli pięć jajek.

W czasie kolacji opowiadał nam góral fantastyczne powiastki o zbójcach, duchach, i t. p. stworzeniach, co niejednokrotnie Tatry nam przypominało.

Po tych gawędach z wielką przyjemnością udaliśmy się na spoczynek do stodoły.

Najweselszym momentem tego noclegu, było polowanie na „niedźwiedzie" [po głowie i nogach]. Również niemniej zabawnem było opętanie Janka przez „złego" — dobrze drzemaliśmy, aż tu Janek zaczyna skakać, coś szeptać, potem głośniej mówić — w końcu krzyczeć i wzywać pomocy — tak, że nam mimowoli włosy dęba stanęły. Dopiero wspólne egzorcyzmy uspokóiły Jasia — a nam przyniosły upragniony sen.

Nazajutrz rano wstaliśmy weseli, wypoczęci z nową energją i ochotą. Po skromniejszem od kolacji śniadaniu, wyruszyliśmy w Pieniny, które miały być pierwszym etapem naszej wycieczki. Wśród ogólnych stękań wyszliśmy na szczyt „Sokolicy". Jakże inny był widok od widoków uprzednich. Wczorajszy nastrój pierzchnął zupełnie. Przed nami roztaczała się wspaniała panorama oświetloną iskrzącem się słońcem, tworząc z natury różnokolorową draperję, przeciętą błękitną wstęgą Dunajca.

Zachwyt nasz nie miał końca. Żal nam tylko było Józka, sławnego taternika, że nie mógł z nami podziwiać tego piękna jakie nas otaczało, ale Józek nie mógł w żaden sposób podołać tej żmudnej wyprawie, więc wybrał sobie drogę dalszą, ale wygodniejszą. Przy tej sposobności poszedł po przepustki do Krościenka i dopiero ku wielkiej radości spotkaliśmy się u pustelnika, ciesząc się jego przybyciem i przepustkami.

Czas, który poświęciliśmy na odpoczynek, upłynął nam bardzo przyjemnie w gronie

---

piersi, granaty i karabin, który nie może sobie znaleźć miejsca, t. j. w prawej, to w lewej ręce, to znów na ramieniu.

Po drodze spotykamy ludzi, którzy patrzą się na nas jak na dzikusów, którzy zakłócają spokój dnia świętego.

Wytwarza się współzawodnictwo. Każdy ciągnie szpurta na swoją rękę. Jeszcze mamy przed sobą trzy kilometry. Nogi zaczynają się plątać. Rytro zasłonione górą, nie widzimy go, co nas denerwuje.

Dziewiąty kilometr... Wszyscy czują się pomęczeni. Jeszcze nie widać celu...

Wtem zakręt... widać na dalekiej odległości tłum ludzi przy mecie. Nabieramy nowych sił. Łączymy się w oddziałek, chwytamy zgodne tempo. Nareszcie Rytro. Równamy czwórki, wypinamy dumnie piersi. Oto idziemy zdrowi i silni.

Uśmiechają się do nas twarze znajomych i nieznajomych. Maszerujemy dziarsko i wesoło. Meta i stop... Zostajemy obdarzeni przez piękne panie kwiatami i wesołemi okrzykami.

Teraz dopiero niejeden idzie na bok i zdejmuje buty i widzi ze zgrozą, że ma nogi na piętach otarte do krwi i że ma liczne zdymki.

W różowych humorach powracamy do obozu. Lecz na drugi dzień obudziliśmy się z bólem w nogach. Trudno było chodzić, bo wzdęcia napęczniały i bolały niemiłosiernie. Doktór nikogo nie uwolnił z ćwiczeń. Więc wiara cała chodziła jak na szpilkach. Lecz wnet wygoniono z nas tę boleść, karząc maszerować na plac ćwiczeń.

KONIEC.



miłych i sympatycznych turystów i turystek. Następnie udaliśmy się w stronę Glorjetki, szczytu, jednego z „Trzech Koron".

Widok, jaki roztacza się z tego szczytu, jest wspaniały. Szczyt ten lśni jak perła w koronie, w złocistych promieniach słońca, a spodem ubranej w przepiękną różnokolorową szatę w postaci drzew i kwiatów.

Z Glorjetki droga biegła w stronę południowo-zachodnią—a dalej wąwozem do Sromowic Niżnych. Zmęczeni drogą i upałem, z prawdziwą rozkoszą ochłodziliśmy się w nurtach Dunajca.

Podziwialiśmy wielką ilość różnych łódek i statków, uwijających się na błękitnych falach, obok których pływało wielu uroczych majtków tak polskich, jak i czeskich, uśmiechających się do nas wesoło. Koło trzeciej popołudniu byliśmy już po stronie czeskiej. Na wstępie spotkała nas serdeczna gościnność, rzadko spotykana w takich miejscach, bowiem tamtejsi obywatele cyganie witali nas z wyciągniętemi rękoma ale po parę złotych. A jeden z tych gościnnych cyganów zaczął się troskliwie opiekować nami tak, że o mało bez spodni nie zwiedzaliśmy Czechosłowacji. Zwiedziwszy „Czerwony Klasztor", zdążaliśmy w stronę Lubowli.

W czasie żmudnego marszu przygrywała nam cygańska orkiestra, będąca atrakcją naszej wycieczki.

Zmęczeni całodziennym marszem, rozglądaliśmy się za jakmś noclegiem, a tu trudno było się dopytać, a nie dopiero znaleźć jakąś osadę. Dopiero po kilko-godzinnym marszu zamigotały blade światełka, jakby drwiąc i śmiejąc się z naszej niezaradności, nikły, to znowu się pokazywały. Ową osadą była Kamionka Spiska.

Z chwilą, kiedy poczuliśmy jej grunt pod nogami była godzina 22-ga. Z pewną obawą, obaj z Józkiem, udaliśmy się do jednego z domów z prośbą o nocleg. Jeszcze dobrze nie wstąpiliśmy na podwórze — aż tu skoczą dwa potężne psiska. Nie wiele myśląc skoczyliśmy do drugiej zagrody — ale zamiast się uratować, wpadliśmy w pułapkę, bo oprócz psów ścigających, gonili nas gospodarze — biorąc za złodziei. Cudem uszliśmy większych nieprzyjemności. Zdawało się, że na tej czeskiej ziemi nie będzie dla nas ratunku. Ale tak źle nie było, jak się z początku zapowiadało. Podchodzę do okazałego domu i pukam — z otwarciem drzwi oniemiałem i zapomniałem polskiego języka na widok czterech pań, które z wielką kurtuazją zapraszały mnie do środka. Dopiero Józek wyratował mnie z tej opresji, mówiąc o co chodzi — ja wtedy z całą fantazją zaczynam

---

Kita Stanisław
kl. IV b. Gim. II.

Najtańsza furmanka.

Pewien właściciel folwarku znany ze skąpstwa, powracając z miasta do swego folwarku, odległego od stacji kolejowej o 25 kilometrów, aby oszczędzić własnych pojazdów i koni „polował" zwykle na sąsiadów i „dosiadał się" z prośbą o podwiezienie.

Na polowaniu jednak — jak wiadomo — różnie bywa, czasem zwierzyna nie dopisze. Musiał więc kiedyś w braku uczynnego sąsiada wziąć płatną furmankę. Obszedł wszystkich żydków, urządzając przetarg ofertowy: ten chciał 25 zł., ten 20 zł., ów piętnaście zł. Wszystkie te ceny wydawały się skąpemu jegomości nie do przyjęcia.

Dotarł wreszcie do stojącego kędyś na uboczu chłopca — Rusina — z nędznym wózkiem i jeszcze nędzniejszą szkapiną. Zapytany, ile chce za odwiezienie go do dworu w N., chwilę popatrzał w ziemię, poskrobał się po głowie i wreszcie wyrzekł:

— Za pierwszy kilometer grosz mi pan da, nie będzie chyba za wiele. Za drugi to już dwa, bo droga ciężka. Na trzecim idzie pod górę, to mi pan da cztery grosze, a tam i koń będzie zmęczony i góra jeszcze większa, to dostanę znów dwa razy tyle groszy i dalej tak już do końca.

Ot, głupi chłop — pomyślał ziemianin, ledwie powstrzymując się od śmiechu, na grosze liczy! — Cóż, nie mam obowiązku pouczać go, że nie umie rachować. Z pośpiechem siadł do wózka.

— Zgoda! — zawołał, jedziemy.

Pojechali, ale gdy dojechali okazało się, iż skąpy musiał za jazdę oddać „głupiemu" cały swój majątek i został sam u niego fornalem „na odrobek". Jak się okazało owa furmanka najtańsza kosztowała tylko 335.544 zł. i 31 gr. Te grosze podobno mu chłop darował.

swoje żale na nasz los — mówiąc: że już drugi tydzień zwiedzamy te kraje, głodni i nie wyspani — a jedna z tych pań zapytuje:

— Jak długo idziecie i dokąd?

My odpowiadamy znowu co innego. Panie też co innego odpowiadają.

Kres tej miłej dyplomacji położyła matka, z którą łepiej można się było rozmówić. Owemi paniami były nauczycielki i seminarzystki, studjujące w Pradze, więc dlatego trudno było porozumieć się z niemi.

Z powodu braku miejsca nie można było tam nocować, ale troskliwa mateczka wskazała nam dobrą gospodę, gdzie znaleźliśmy szczerą i serdeczną gościnność. Żal nam było odchodzić od gościnnych pań, za któremi Józek o mało nie płakał. Wieczór długo rozmawialiśmy wspominając wiele ciekawych epizodów z naszej wycieczki, a zwłaszcza ostatni.

Wcześnie rano wyruszyliśmy do Lubowli, gdzie spędziliśmy kilka godzin w wesołym i miłym nastroju u Polaka p. Kuczkowskiego, przyjmowani z staropolską gościnnością.

Następnie dłuższy czas poświęciliśmy zwiedzaniu zamku, gdzie poznaliśmy kilka starych zabytków, pamiętających czasy Lubomirskich.

Z Lubowli wśród wesołego nastroju udaliśmy się do Piwnicznej, a potem pociągiem do N. Sącza, trochę zmęczeni, ale w doskonałych humorach, wspominając mile przeżyte wrażenia w tak pięknych okolicach i w cudownej pogodzie.



Elsner Ch.
kl. IV b. Gimn. II.

Młodzież szkolna pod zaborem rosyjskim.

Rozległ się donośny głos dzwonka. Do klasy wszedł powszechnie nielubiany nauczyciel Berberowskij, Popatrzył groźnie na klasę, drżącą pod jego wzrokiem, wymówił imię ucznia, trwożliwie oczekującego zapytania:

— Kto cię uczy języka polskiego?

Chłopiec zmieszał się i zaczerwienił, ale dość spokojnie odpowiedział:

— Nikt!

Po tem słowie wpił w niego swe okrutne oczy, jakby chciał go przebić nawskróś i syczał dalej:

— Mów, bo jeżeli cię przyłapiemy, to pojedziesz z nim razem na...

Tu przerwał, bo odgłos kroków dał się słyszeć na kurytarzu. Nauczyciel zerwał się na równe nogi i ruchem ręki kazał chłopcu usiąść. Do klasy wszedł inspektor. Przywitał się z nauczycielem, następnie zaczął zadawać różne pytania chłopcom, na które oni skrzętnie odpowiadali. Nareszcie rozległ się oczekiwany dzwonek.

Nauczyciel z inspektorem wyszli, wiodąc ze sobą ożywioną rozmowę, której tematem miał być uczeń, pierwszy na godzinie przez nauczyciela pytany.

Następną godziną była historja. Wszedł do klasy nauczyciel: rudy, piegowaty, z wyrazem bezczelności i chytrości na twarzy. Bez żadnego wstępu zaczął swój wykład o Kościuszce i o bitwie pod Racławicami:

„Tadeusz Kościuszko był zwykłym „buntowszczykiem". Nie był on ani uczonym, nie znał się na sztuce wojennej. Wszczynał bunty, a potem dostawał się do więzienia, skąd raz uciekł".

Chłopcy rosyjscy słuchali tego opowiadania z zaciekawieniem, Polacy zaś obojętnie,

gdyż wiedzieli, że to zwykłe i codzienne kłamstwo nauczyciela.

O bohaterskich czynach Kościuszki słyszeli oni w swych tajnych szkółkach, do których o wiele chętniej uczęszczali, niż do przymusowych szkół rosyjskich. Nauczyciel nie zważając na to, czy kto słucha jego wykładu, ciągnął dalej swoje:

„Po ucieczce z więzienia został generałem wojsk polskich. Dowiedziawszy się w Krakowie o wojskach rosyjskich, ciągnących w te strony, począł coprędzej uciekać, aż niespodziewanie spotkał się z naszych niewielkim oddziałem pod Racławicami".

„Wojska naszych wrogów było bardzo dużo, a oprócz tego mieli dużo armat, naszych była garstka mała, która się jednak dzielnie broniła. Wreszcie po daremnych wysiłkach, przestali walczyć, ale nie poddali się, uciekli". „Ale — nie poddali się" — powtórzył jeszcze raz.

Wreszcie zmęczony tą fałszywą historją usiadł, a raczej upadł na krzesło.

— To nie prawda — to ohydne kłamstwo— krzyknął Stefek Walkowski.

Nauczyciel zmieszał się nieco patrząc na małego chłopczynę, śmiało mu zarzucającemu kłamstwo.

Wnet jednak opanował się i rzekł:

— Powtórz to coś powiedział!

— Powiedziałem! — rzekł chłopiec uroczyście — że ani jedno słowo z tego, co pan powiedział, nietylko na tej lekcji, ale na wszystkich wykładach, nie było prawdą.

Chłopcy słuchali tego z osłupieniem i z obawą, spoglądając to na nauczyciela, to na kolegę.

Niepewny ten nastrój przerwał dzwonek. Nauczyciel porwawszy palto i kapelusz prosto popędził do kancelarji dyrektora.

Następna lekcja przeszła bez żadnych wypadków. Stefek wróciwszy do domu, opowiedział wszystko ojcu. Ten mu zaś rzekł:

— Dzielnieś postąpił, mój synu, ale na tem skończy się twoje szkolenie w tym zakładzie.

Istotnie na drugi dzień przyszedł dyrektor i powiedział Stefkowi, ażeby powtórzył jeszcze raz to, co powiedział nauczycielowi Łużańskiemu.

— Zacnemu szpiegowi — dokończył Stefek.

Cała klasa wybuchnęła śmiechem, ale na wspomnienie kochanego kolegi, przestała się śmiać, nawet zapanowała grobowa cisza.

Po tym docinku spojrzał dyrektor na nauczyciela Łużańskiego. Ten stał posępny i nie wiedział co robić. Chętnie rozszarpał by tego smarkacza i nauczył go postępować z nauczycielem.

Na żądanie dyrektora Stefek powtórzył wszystko, co powiedział owemu wychowawcy.

Dyrektor oburzony na bezczelność uczniaka, dal mu świadectwo odejścia, a na drogę wilczy list.

Tak skończyła się karjera szkolna odważnego Polaka!



Jan Sowiński
Gimn. II.

Wielkość ludzka.

Senne urojenie wielkości — co truje
Swoje szczęście i bliźniego — a pieśni płodzi...
I współumarłych losem przekleństwa, schodzi
W otchłań Bytu — gdzie głuchą próżnię znaj-
[duje...
Urojenie wielkości w życiu — co złudą
Okrywa myśl i uczucia — a jak groby
Stroją się pięknem kwieciem ludzkiej żałoby
Tak się ich serca stroją złotą obłudą...
Urojenie wielkości, co niezgodę rodzi,
Co zazdrością sławy tworzy pieśń piękności,
Lecz, że w ich duszy szaleje pył marności,
Współumarłych losem — w Otchłań! duch ich
[schodzi...

Bo szczęśliwie być maluczkim a z sercem
[i z duchem wieczności,
Niż, nie znając serca i duszy, mówić o Bogu —
w wielkości...

Poeci! — wy wszyscy co żywotem
Wskrzeszacie każdą chwilę wieczności,
Wy, co duchem władacie w piękności,
Na ziemi — olbrzymich Prawd wszechświatem,
Co własne swe życie podziwieniem

Badacie, dziwiąc się stworzeniu,
Wy, co cierpicie w świętem milczeniu,
I co, umiecie kochać — z cierpieniem,
Muzycy nieśmiertelni! — wy bracia świętych [wygnańców
Poezji — co obliczacie Prawdę czuciem wieczności,
Wy nieszczęśliwi wszyscy — wy moi bracia [piękności.

Wład.

Święto ziemiaczane.

...Przejeżdżając na wakacjach całą południową Małopolskę i Śląsk, miałem możność dowiedzenia się od kolegów-studentów różnych gimnazjów o najróżnorodniejszych uroczystościach i obchodach urozmaicających szare studenckie życie.

Jedną z takich uroczystości obchodzonych na Śląsku przedstawię:

Każdej jesieni w październiku wszystka młodzież szkolna schodzi się na określonem polu, gdzie ma się odbyć uroczyste „Święto ziemniaczane".

Celem tego święta jest przypomnienie młodzieży, jak ogromne znaczenie ma ziemniak w życiu gospodarczem całego narodu. Teraz bowiem wprost nie można sobie wyobrazić pokarmu bez ziemiaka. On bowiem jest podstawą bytu wszystkich bez wyjątku, czy chłopa, czy mieszczanina.

Coby teraz robiły szerokie masy ubogiego ludu, przy takim kryzysie gospodarczym, jeśliby mu ziemniaków nie starczyło. On jest jego codziennym pokarmem, on jest nadzieją jutrzejszego bytu.

Po wstępie wyjaśniającym cele i idee tego „Święta" następuje przegląd wszystkich narodowości, używających jako pokarmu ziemiaków.

Więc Niemiec, Rosjanin,. Duńczyk, Francuz i t. d. wychwalają jak smaczne, pożywne i zdrowe są ziemniaki. Następnie wsypują je z worów do ognia, przy którym zasiadają, śpiewając dumy narodowe.

Kiedy ziemiaki są już upieczone, wtedy przy dźwiękach muzyki, gwarach i hałasach młodzieży, rozdaje się je między uczestników, którzy zjadają je każdy na swój sposób. Po spożyciu następuje druga część programu przyjmowana przez młodzież upustami śmiechu.

Bo oto zjawiają przed uczestnikami święta śpiewacy, aktorowie, akrobaci, komicy i każdy na swój sposób stara się rozweselić widzów.

Wreszcie późnym wieczorem niechętnie odchodzi młodzież od ogniska, przy którym tyle mądrych i wesołych rzeczy usłyszała.

Niech żyje „Święto ziemiaczane".

Kazek IV B.

Nasza klasa.

CZĘŚĆ I.

W naszej klasie życie wre,
Każdy coś napisać chce,
Do pisemka „Lotem" zwane,
W całym Sączu dobrze znane.

Każdy biedzi sobie głowę,
Jak dać wstęp, a jak osnowę,
Zakończenie rzecz nie łatwa,
Zawsze się któremuś gmatwa.

Zaczynając od początku,
Wspomnę coś o naszym kątku,
Czwartą klasą nazywanym,
Dobrzę całej „budzie" znanym.

W szóstej ławce rozepchany,
Siedzi „Traper" zadumany,
W spokoju on tam łzy łyka,
Bo mu profesor wziął „bryka".

Jest też u nas „Czaplin" mały,
Który bardzo jest zuchwały,
Zwykle „r" nie może mówić
Lecz zawsze lubi się czubić.

Lekkoatletyk jest sławny,
W pływaniu, w boksie wytrawny,
W śpiewaniu rywal Kiepury,
Śpiewa jak pijane kury.



B. J. VI.

WIATR HALNY.

Las huczy ponuro konary swojemi
Aż echo roznosi łanami głuchemi,
A ja siedzę w oknie i patrzę w dal,
Jak wichrzysko idzie od dalekich hal,
Patrzę jak wywraca świerkowe chojary,
Jak łamie, gruchoce ich wielkie konary,
Jak bierze za bary olbrzymie drzewiska
I jak wraz z korzeniem o ziemię je ciska.
A rozniósłszy po świecie jeno słowo trwoga
Wzleciał w błękit i skonał gdzieś u tronu Boga.



Kronika gospodarcza.

Bilans Banku Polskiego.

Dnia 8 b. m. odbyło się zebranie Rady Banku Polskiego, na którem Dyrekcja złożyła sprawozdanie z działalności za okres ubiegły. Bilans Banku Polskiego za trzecią dekadę wykazuje zwiększenie zapasu złota o 15 tysięcy zł., portfel wekslowy wykazuje zwiększenie o 9 milj. zł., również stan pożyczek zastawowych podniósł się. Inne aktywa do sumy 214.750 tys. zł. — W pasywach pozycja natychmiast płatnych zobowiązań zmniejszyła się znacznie. Obieg biletów bankowych podniósł się natomiast o przeszło 84 miljonów złotych.



NASZE ŻYCIE

Gimnazjum II.

Dnia 6. paźdz. br. odbyło się zebranie delegatów poszczególnych klas, celem zorganizowania, oraz zespolenia gmin klasowych. Na zebraniu byli obecni p. dyrektor Krupa, p. prof. Nytko, p. prof Górecki oraz p. prof. Pawłowski z grona uczniów wzięli udział delegaci klas VIII a, b, VII a, b, VI a, b, V b i IV b.

Zebranie otwarł p. dyrektor, który w pięknem przemówieniu przedstawił krótko program działania, zaznaczając że pomyślność pracy zależy od nas samych.

Wybrano następnie tymczasowy zarząd główny w skład którego weszli: przewodniczący Potok T. zastępca przew. Zając Cz. oraz sekretarz Michalik A.

Przemawia następnie p. prof. Pawłowski, który, przedstawiwszy jako wzór statut Seminarjum, wskazuje na doniosłość pracy na terenie gmin oraz sposoby jej zrealizowania.

Zorganizowane więc będą następujące kółka: Dramatyczne, Fotografów, L. O. P. P., Liga Morska i Rrzeczna, Czytelnia, Pomoc Koleżańska, dalej sklepik i wydawanie śniadań. Przedstawiciele tych poszczególnych organizacji wchodzą do Zarządu głównego gmin, w którym zasiadają wójtowie pod przewodnictwem prezesa gmin szkolnych.

Na wniosek kol. Słotwińskiego wyłoniła się z pośród zebranych komisja statutowa, która ma się zebrać w najbliższych dniach i przedstawić projekt statutu. W skład tej komisji weszli: Potok VIII Słotwiński z VII-mej, Kossowicz z VI-tej, Kulpa z V-tej, oraz Lubiński z IV-tej.

Przystąpiono następnie do ustalenia nazwy naszej organizacji. Drogą głosowania przyjęto nazwę: Zarząd główny gmin, a przewodniczący tego Zarządu ma tytuł prezesa gmin szkolnych. Do Zarządu' głównego gmin weszli wójtowie poszczególnych klas a to: Zając Władysław VIII a, Michalik Adam VIII b, Zając Czesław VII a, Kossowicz Jerzy VI a, Bielczyk VI b, Kulpa V b, oraz Wygoda Stanisław IV b, ponadto do Zarządu głównego weszli prezesowie poszczególnych kół: Czytelnia — Śliwa Jan, Pomoc Koleżańska — Reiherd, Dożywianie — Górkiewicz, Muzyka — Horodyski, Kółko dramatyczne — Perkius, Hufiec szkolny — Pałach, L. O. P. P. Iszkowski. Zostaną wyznaczeni ponadto delegaci Harcerstwa i Sodalicji. Przeprowadzono dalej wybory na prezesa gmin, jego zastępcę, sekretarza i głównego skarbnika, które jednak sprawy nie rozstrzygnęły. Proponowano na prezesa kol. Potoka na zastepcę kol. Pomietłę lub Wojtygę, a na Sekretarza kol. Burgera. Sprawa ta zostanie definitywnie załatwioną na następnem zebraniu.

W ciągu 2 tygodni odbędą się w klasach zebrania, celem ustalenia programu pracy. Na Sejmik

przyjdą wszyscy członkowie gmin, nadto po 3 delegatów z klas niższych oraz klas niezorganizowanych.

Ustalono też termin następnego zebrania, które odbędzie się za 2 tygodnie t. j. 20 b. m.

Gimnazjum żeńskie.

Wiesz co mówi mi współlokatorka ławki szkolnej — dzisiaj musimy koniecznie napisać nasze życie do »Lotu«, bo przecież, że żyjemy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, no ale o tem chcemy Wam Drodzy Czytelnicy oznajmić, tembardziej, że niedawno groziło nam poważne niebezpieczeństwo ze strony gazów. Wprawdzie akcja obrony przeciwgazowej była doskonale zorganizowana (centrum klasa VII) i bacznie pilnowałyśmy się nawzajem, by przypadkiem która nie otworzyła okna i dzwiczek od pieca, bo z gazami to nie żarty! Obserwowałyśmy również z zainteresowaniem lot czterech samolotów (czytaj: samolotu), gdy w tem gdzieś z kąta klasy usłyszałyśmy trwożliwe pytanie: „A co będzie popołudniu z tańcami, chyba pójdziemy w maskach przeciwgazowych?“ No, ale wszystko minęło szczęśliwie, samolot odleciał, gazy bez uszczerbku mieszkańców pożegnały Sącz i wyjechały w atmosferę; a my na drugi dzień miałyśmy już sposobność doznać nowych wrażeń na filmie pod tytułem: »Quo vadis?«, który nas nie tyle zachwycił, ile rozczarował. Była to tylko parodja znanego arcydzieła naszej literatury, przez H. Sienkiewicza.

Wśród rozrywek nie zaniedbujemy też naszych obowiązków, pracując intenzywnie w szkole i poza szkołą w różnych kółkach i stowarzyszeniach jak w Sodalicji, Czerwonym Krzyżu, Harcerstwie i t. d., aby nie pozostać w tyle w pracy nad sobą i dla dobra bliźnich. *B. Z. i S. S.*

Seminarjum żeńskie.

Radebyście kochane Czytelniczki (cy) wiedzieć co się też dzieje w naszej »budzie«. Otóż z rozpoczęciem roku szkolnego rozpoczęłyśmy pracę również i wspólne zabawy (podczas wakacyj bawiłyśmy się bardzo dobrze ale osobno).

Tak wyglądają pauzy: po klasie i po korytarzu snują się tańczące pary, zobaczyć tu można różne figury foxtrotta, jakiś walc (?) czasem znowu tango. Tańczymy w szkole, w domu, nie mówiąc już o lekcjach tańców w Czytelni mieszcz.

Inne koleżanki, wierząc w to święcie, że »człowiek żyje, aby jeść«, odwiedzają na pauzie kuchnię znajdująca się na pierwszem piętrze; zaopatrzyć się tam można w świeże bułki (z masłem i bez) w herbatkę, mleko i t. d. Oprócz tego odwiedzamy (wszystkie) kram znajdujący się przy głównej bramie, gdzie zaopatrzyć się można w owoce (szkoda, że tylko krajowe).

Są też w klasie takie, które pozostają w ławkach podczas pauzy i patrząc w sufit powtarzają lekcję. Słyszeć wtedy można »Bez serc, bez ducha« i t. p. Gdy dzwonek zadzwoni wszystkie zajmują miejsca.

Na godzinie te, które tańczyły kryją głowy pod ławki, te, które się zajadały kładą głowy na ławki — a te, które się uczyły, siedzą prosto i odważnie czekając rychło z ust p. prof. usłyszą swoje nazwisko, by mogły pochwalić się tem, co umieją. Zapomniałam napisać o tych, które myślą i radzą nad figurami i krokami do krakowiaka, którym w najbliższym czasie popisze się kurs IV na wieczorku.

Szkoła handlowa.

Starym zwyczajem rozpoczęliśmy nowy rok szkolny 1931/32. Okres próżnowania skończył się i nie powróci aż za 10 miesięcy — przed nami praca!

Młodości! Podaj mi skrzydła do „Lotu“. Nie chcąc klepać bredni o wiednących kwiatach i o smutnych nastrojach jesiennych, wracam myrlą do naszej „budy“, w której przeżywam tyle chwil „górnych i durnych“. Równocześnie nasuwają mi się przed oczy uroczyste i surowe miny p. profesorów.

W klasie wre jak w ulu, bo wszyscy moi koledzy i koleżanki są jednej myśli: „czas to pieniądz“, więc trzeba go wykorzystać i zużyć jaknajpożyteczniej. Prawda, że czasem oberwie się niepożądaną czwórkę, ale cieszmy się nadzieją, że nadejdą lepsze czasy. W pełni wiary w lepszą przyszłość, stajemy do pracy z podwójną energją, robiąc przytem tysiące postanowień, a przedewszystkiem, że to się już nigdy nie powtórzy.

Już nigdy!... Jak radośnie brzmią te dwa słowa. Pozatem należymy do różnych kółek, które na terenie naszej szkoły pomyślnie się rozwijają, jak: Liga Morska i Kolonjalna, oraz Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, nie zapominamy także o kółkach naukowych, które przez moralną naukę korzystnie wpływają na nasz rozwój umysłowy. Stajemy się z każdym dniem silniejsi i wciągnięci w to życie szkolne, pełne radości i coraz to nowych pragnień, krzepiąc się myślą: „Niechaj żywi nie tracą nadziei!“

I. T.



Wzdrowem ciele **Sport** zdrowy duch!

Turniej tennisowy.

Ubiegłego miesiąca odbył się na kortach Parku Strzeleckiego turniej tennisowy o mistrzostwo Nowego Sącza. Miejsca zajęli: 1) Baran Józef (Cracowia), 2) Długopolski Stanisław, 3) Biedroń Mieczysław (gim. II), 4) Schnur R. (Tarnów). W zawodach brało udział 30 zawodników.



Program elektryfikacji Polski.

Pod takim tytułem ukazała się bardzo ciekawa broszura Dra T. Szpitzera.

Autor bardzo ciekawie omawia w niej plany elektryfikacji Polski, przeprowadza bardzo charakterystyczne porównanie stanu elektryfikacji w Polsce i innych państwach, podaje historję elektryfikacji na ziemiach polskich i t. d. Broszura omawiająca tak doniosły i aktualny w Polsce problem, godna jest polecenia.

Na zagranicznym rynku pracy.

Obecne położenie gospodarcze, kryzys i bezrobocie panujące w całym świecie jest wprost zastraszające. Niemcy mają bezrobotnych około 4 miljony, Anglja około 5 milj., Stany Zjednoczone 12 milj. W porównaniu z temi państwami szczęśliwą jest Francja, która oficjalnie liczy tylko 39.952 bezrobotnych, tem więcej, że są to wyłącznie tylko cudzoziemcy a między nimi około 10.000 emigrantów polskich, którzy ostatnio licznie zwalniani są z pracy.



WESOŁY KĄCIK.

W księgarni.

Kljent: Prosiłbym o coś Homera.

Subjekt za ladą: Homer nam chwilowo wyszedł.

Kljent: To zaczekam aż powróci.

Miejskie dziecko na wsi.

— Patrz mamusiu jakie ładne owieczki!

— Ależ Janka, to nie owieczki, to świnki.

— Tak? A co one brzydkiego zrobiły?

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Orsaczek Roman: „U sekretarza gminnego" i „Zapóżno" odpisane Z kalendarza, nie umieścimy.

Marja Baraściak: „Jesień" dobre, ale mało, proszę dalej pracować i nadsyłać nam jaknajwięcej artykułów. Nie umieścimy.

Alojzy Orlik: „Nasza Klasa". Namyślamy się.

Taszka: „Pod Znakiem zmian" Odgrzewane dowcipy są niesmaczne. „Rok 1914". Prawdopodobnie umieścimy w listopadzie.

Ewa Smolikówna: „Bajka o królewne". Ładna bajeczka, ale już znana.

Cena numeru pojedynczego 25 gr
Prenumerata: kwartalnie . 1·80 zł
SKRYTKA POCZT. Nr. 127.

Adres Redakcji i Administracji:
Nowy Sącz, ul. Jagiellońska, Gimn. II.
Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor odpowiedzialny: Prof. **Bolesław Nytko.**
Komitet redakcyjny uczennic i uczniów szkół średnich w Nowym Sączu
Drukarnia A. Mółka — Nowy Sącz, Pijarska 15.